

287.996 W
WACŁAW IWANIUK

MILCZENIA

WIERSE 1949-1959

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

WACŁAW IWANIUK

MILCZENIA

WIEDEŃ 12.12.1959
BIBLIOTEKA
TOM XLIX
MILCZENIA

INSTITUT LINGWISTYKI
WARSZAWA

Wydawnictwo Uniwersyteckiego Instytutu Lingwistycznego
15, ul. St. Józefa 17, Warszawa

BIBLIOTEKA "KULTURY"
TOM XLIX

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca: Edition et Librairie „Libella”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

WACŁAW IWANIUK

MILCZENIA

WIERSE 1949-1959

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603604



II 287.446



Copyright by „Kultura”, Paris, 1959

1960 W 252 / 1

wiersze zawarte w tym tomie nie
były jeszcze nigdzie drukowane.
Pisałem je w Kanadzie, w ciągu
ostatnich dziesięciu lat.

AH, WILDERNESS

AH, WILDERNESS! *)

umarła w nas gorączka złota
więc po co właściwie mieszkamy na Alasce
gdzie się grzebie trupa fortuny
pod nieforemną skałą staczających się wiatrów —
raz na rok można jeszcze spojrzeć prawdzie w oczy
że ci co uciekli nie wrócą już do nas
pod wiatr z azjatyckiej północy
by na łasce kaprysu budować
i na błyszczącym piasku —

krajobraz ma leniwe obroty
nie popędza pór roku — leży bryła lodu
natura z siwym włosem na czole a wiosna
nie ma czasu powiedzieć że żyje —
jak niemowlę otworzy usta
i odchodzi przedwczesnym karłem —

a myśmy pozostali — pustym łokciem
odmierzamy polarne strumienie
i czekamy by coś w nas przygasło
by wyrwano nam skrzydła niepokoju
które nas męczą — gdy u stóp
płaskie twarze powolnych Eskimosów

*) Eugene O'Neill

szukają w nierozciętej biblji północy
innej niż nasza mądrości —
tu — jak na rąbku Ognistym Magellan
nie chcę już służyć przegranym królestwom
mądrzejszy o własną wojnę — jej milczenie
przychodzi razem z pocztą zagranicznych listów
które samoloty krążące zrzucają
raz na miesiąc jak desant niepokoju —

2

kiedys krzątałem się w życiu jak młynek do kawy
nie mogąc ustać w gotyckich zieleniach
powoli zmieniałem swój kształt
i rośłem — przestępując z nogi na nogę —
w górę — bliżej życia i bliżej sierpnia —

czasem, w momentach drażliwych
spuszczałem oczy po sobie
i liczyłem: dwanaście godzin pracy
dwanaście godzin snu
cała doba a razem
dwadzieścia cztery godziny milczenia —

potem miałem pięć zdrowego śmiechu
i samotność na własnym odludziu
wtedy nie było samolotu
i obrót ziemi
nie chciał się dopełnić — wierny geometrii
na Alasce u szczytu ziemi —

teraz kiedy z Alaski ostatni już wóz
odjeżdża na południe a kraj posiekany
odpoczywa w glinianych slotach —
jakżeż mam się czuć tu — wbity w milczenie
jak góra zapomniana w kontynent —

3

spieniony łoskot wody
mądrość warzyw i metafizyka ogrodu
moja matka w czystym łonie pary

liczy w kuchni okrągłe naczynia —
potem będzie kolacja z jałowca
z pomiotu zieleni
siądziemy przy stole
trzymając w spragnionych dłoniach kamienne widelce
w oczekiwaniu na śliską treść potraw —

noc z rękami w kieszeni
będzie bębnić głucho
o blat stołu z nudnego drewna —
od czasu do czasu
nienasycony trzepot wiatru
rzuci się z krzykiem w okno
wołając: ratunku —

i nic — będziemy jeść
jak w metaforze życia —
widelce wślizną się w sałatę
podważając jej kruchy byt —
druga ręka z wojowniczym nożem
wyostrzonym na osełce przez ojca
czeka tylko na ruch brwi
by ostrym cięciem dokonać
nienasyconego spustoszenia w szklanej salaterce —

a matka do nas mówi ruchem rąk
twarzą w łagodnych myślach
na którą spada nieustannie
bujna rzeczywistość jej włosów —
jak ciepły szron i jedwab
i coś jeszcze czego już nie ma
ale na co ciągle się czeka
z ustami pełnymi krótkowzrocznych słów —

właśnie przyszła i jest
u źródeł mego ucha gdzie się lęgnie szept —
jej twarz z macierzanek i oczy w rzęsach
przeszkadzają mi zajrzeć do źrenic
gdzie matka ciągle ukrywa
złomy milczącej miłości —
a ja — wyrosły do granic niepewności
szukam kuchni — arki dzieciństwa



czy jest jeszcze inna jakaś trwoga
oprócz dnia dzisiejszego — inny jeszcze czas
o którym nie wiem choć czytałem Listy
i umię zacytować kilka złotych myśli —
czy jest coś we mnie o czym zapomniałem
i dlatego patrząc na was widzę
profil przekrojony na połowę — czarne jego wnętrze
uczy mnie sądzić ale nie wiem
czy jest to profil trupa czy uśpionych ciał —

mówię — trzymając w ręku lusterko świecące
aby upewnić się w was — w granicach
waszych twarzy, uśmiechu ust, pojemności serca —

odradzałem was każdym słowem
używając smutny krajobraz
byście mogli pełniej i jaśniej
być sobą i sięgać po dłoń
jak się sięga po kubek snów
nalany złotem sytej wyobraźni
przez kochającą was Pytię —

Teraz czuję się lepiej — zwyciężyłem siebie
świat do mnie nie przylega krzykiem gazet i anten
żyję życiem dna oceanu
bez patosu sąsiadów
na odludnej milczącej Alasce —

TYDZIEŃ

pobrali się miłością
a ona jest nawet zdolna — rządzi domem —
jego nie ma, wypłata godziny
jest tylko zwykłym urzędnikiem
umie przewracać kartki kalendarza
uczyć się dat —
z nami zawsze to samo:
poniedziałek kiśnie
we wtorek obrzydliwie
środa w zakonnym smutku
a we czwartek pijemy wódkę —
bo bez wódki by nie wytrzymał
do niedzieli podpartej sobotą —

w niedzielę przyjmujemy gości
patrzemy na telewizję
czytamy prasę w języku krajowym
i usypiamy nad książką o ile
dzieci nie sprowadzą z ulicy
innych dzieci — a te
swoje niedorozwinięte angielskie matki —

bo wtedy będziemy mówić tylko o pogodzie
w naszą polsko-angielską niedzielę —

LEAVES OF GRASS

daj mi Stary Testament — a powiem ci kim jesteś
daj mi Nowy Testament — a powiem ci w co
[wierzysz —
dajcie mi Ossiana i Iliadę a powiem wam o Nowym
[Orleanie
o Dantem który odkrył w podróży po Mississippi
Amerykę zwaną: Leaves of Grass —

brodaty starzec narodzi się sam z siebie
w roku pańskim
tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym
ochrzcił Waltem Whitmanem — a po chrzcie
sam siebie ukoronował —

MILCZENIA

OLIWKA

w Salamance jest obraz Madonny z czarnym sercem
widziałem je — miałem w ręku jak oliwkę
zdjętą dłonią złodzieja z wysokiego drzewa —
mówiła: nie kradnij
ale było zbyt piękne
by go nie dotknąć dłonią —

w Salamance gdy wziąłem do ręki oliwkę
Madonna uśmiechnęła się do mnie
i otworzyła czarne serce
w którym ujrzałem jak w lustrze
ranę dużą jak naczynie stołowe
po brzegi wypełnione krwią —

nic nie szkodzi że kradniesz — rzekła
zdejmując ze mnie kamień winy —
i pozwoliła mi zanurzyć dłoń
w kolczastą czuprynę oliwkowego drzewa
gdzie spoczywał ukryty owoc —

ci co pragną są jak święci
a kradzież zbliża i oczyszcza —

wziąłem więc oliwkę
skradzioną z ołtarza drzewa
i podzieliwszy na dwoje
dałem połowę Madonnie z czarnym sercem
jako okup
patronce złodziei —

TYLKO URATOWANI BĘDĄ MÓWIĆ

będziemy się mordować — mówią sierżanci i rozdają [broń
będziemy się mordować — mówią kaprale i rozdają [broń

starsi strzelcy biorą broń i milczą
młodszy strzelcy strzelają i milczą
gońcy jak świętojańskie ogniki
jak kuropatwy wystawione na cel
rozmawiają na ucho z kulami
leżąc nieruchomo z ołowiem w sercu —

tylko uratowani będą mówić —

E L E G I A

był to dzień spotkania z ogniem
dzień zamyśleń nad nadmiarem trwania —
szczur przy ścianie z różowym ogonem
cieniem własnym słońce mi przesłaniał —

cienkie nóżki żółtego mleczu
wyglądały w upale jak dzieci
które biegły nogi kalecząc
szybkim krokiem dookolnym wrzecion —

tylko szczur patrzył i marzył
zatopiony w cień własnego ciała
jego ogień nieba nie parzył
bo go wieczność nie dosięgała —

M A D R O Ś Ć

to nie prawda że z cnoty wyrasta i cierpień
sprzymierzona z człowiekiem — którego wciąż szuka —
czasem przychodzi w nocy, do drzwi moich puka
a ja wołam zaspany że czuwam i jestem —

to nie prawda — anioły mają czarny drelich
uwięzione w obozach, chodzą w szmatach w pasy —
te których nie spalono cieszą się z hałasem
półpijane — rozpaczy wypełniając kielich —

to nie prawda — bo dzieci owinięte w boleść
leżą skazane na śmierć — głodne z grozą w oczach
śni im się nie widziana na wolności noc —
przedwcześnie mądre, śmiercią męczonych pokoleń —

Ł A S K A

łaska nieba w tym domu
nasila się do tego stopnia
że poeci muszą bronić się
przed nadmiarem wizji —
którym tak bardzo się śpieszy —

kogut piejący jest aleksandrynem
świerszcz w ścianie duchem Homera
księżyc przechodzi przez szybę jak wiersz Rilkego
a cała noc to wyobraźnia Kafki —

przeciskam się między nimi
jak, który wszystkich przeżyłem
i mogę dziś cieszyć się dowoli
Homerem Rilkem i Kafką

a kiedy już pełny jestem jak Safona
unoszę swoją siatkę na motyle
i zataczam łuk po horyzoncie —
potem z dna mojej pułapki
wydobywam ostrożnym ruchem ręki
poetów przemienionych w ryby:
Homera Rilkego i Kafkę —

błyszczące trupy —

K O Ł E K

wiem, wiem — moje niezgrabne, zamknięte w ciemności
[duchy —

widzę was: noc spustoszenie szerzy
wśród rąk których nie macie, wśród suchych pieszczeli —
wiatr metalem niewidzialnym i robak obleśnie przyłgnął
do was
do waszej nagości wtrąconej w atlas
w torturę sadzy —

o was dziś
jak o kamień przydrożny ociera się każde nieszczęście:
dzień połamany kołem słów
starzec o hitlerowskiej przeszłości
martwe maki o sercach podziobanych kulami
wargi spragnione —
wszyscy wszyscy —

usta nasze jak szpony czepiają się twojej twierdzy
kołka w płocie
aniola stróża
salomona mądrości podszytego próchnem
a może silnego jak Dawid —

poeci gdy wracają o świcie rozżaleni na mistrzów
z dantejskim krzykiem spowiadają się tobie
bo ślepa jest siła żalu —
a tylko praktyczny pies
twierdzę w zwykły zamienia kołek —

M O J Ż E S Z

z pędzlem — jak Aaron z różdżką
ustawia w znoju
ewangelistów
przy taczkach z gruzem
i pogłębia kubeł Czerwonego Morza —

nad horyzontem
samotna Góra Oliwna
niespokojnie oblepiona
aniołami

nas suchy strach
wygania z Egiptu
gdzie są żołnierze
i psy tresowane
a oprócz psów
ludzie-wyżły
wężą —

szpieg na szpiegu
jak kamień na kamieniu —
i wojna wstrząsa ciałami zegarów
nakręconych na ostatnią godzinę

NEW YORK

First Edition

DEDYKACJE

NO W Y Y O R K

Józefowi Wittlinowi

żywa, mądrze złożona maszyna bez serca
gdzie dziesięć milionów ludzi żyje bez miłości
od Atlantyku mewy jak białe tancerki
lecą w głąb Manhattanu — jak w jądro ciemności

i giną zapomniane — grudki pyłu w niebie
nie mogą zrównać blaskom w których Broadway leży —
ten trup — a jakżesz świetny — przywyższa sam siebie
codziennie się odradza i w nową treść wierzy —

szczegół przerasta szczegół pośpiechem karmiony
banki drżą w fundamentach objuczone złotem
niagara szybkich małżeństw na prędcie łączonych
przez maszyny państwowe, milczące roboty —

dla nich słońce na niebie nie jest źródłem światła
księżyc jest linią frontu dla spragnionych źrenic
i niebo tak wygląda, jak nie z tego świata
bo od oczu je dzieli mur stromych kamieni —

a tylko zwykli ludzie, szczątki powszedniości
nie śpiesząc się — powoli — żyją w ciżbie godzin —
nie — to nie miejsce dla nich, ten nadmiar wielkości
zmiażdży ich lub w maszyny milczące przerobi —



o, Boże, szepczą wargi — i śni mi się obóz
baraki za drutami, urywane strzały —
i patrzę z ulic w niebo, jak z głębokich grobów
na ten świat — taki straszny i taki wspaniały —

CZECHOWICZ

zblizam się do poezji
biorę jej puls
liczę rytm —
tak niedawno
w mieście którego nie widziałem
od stu chyba lat
byliśmy z sobą
ale wtedy nie wiedziałem o tym —

każdy się uczy
każdy za czymś goni
a ja miałem w pamięci
zwitek ciemnego pragnienia —
dom na Dobrej, ramiona Rózi
i rozmowę z topielcem —

tam od świata półoknami oddzielony
mieszkał Eliot — człowiek wieczności
znał się jak każdy czarodziej
na dźwiękach, na roślinach i na naszych słowach
układanych z płomieni lubelskich wulkanów —

Czechowicz leksyczny
Czechowicz tropikalnie polski
Czechowicz — hejnał plonu i sierpniowych dostatków

w nim jak w popielatym mleczu
ufność rządziła ufnością
a ja przeskakując lata szkolne — poprzeczki mło-
[dości —

wiłem wianki świętojańskiej mądrości
lubelszczyzną
jak prasłowem —

i dlatego dziś
mówię wprost,
jawnie i apelująco
jak się mówi do kogoś wyższego
dorastającą równością
do konfesjonału swoich zażaleń
gdzie siedzi duszpasterz
kosiarcz mlecznych owsów

Czechowicz —

B O S

William James McAlister

wczoraj umarł mój Bos
sędziwością sześćdziesięciu lat —
wszyscyśmy przy nim byli jak gałązki puste
o liściach łatwych do zliczenia
gdy Bos szumiał w konarach
całym królestwem swej czerstwej starości —

śmierć miał łatwą i znośną — o świcie
miętko dostał się do szpitala
gdzie już czekali mechanicy ciał
wtłoczeni w biel i gumy
aby sprytnie go pootwierać
milczeniem błyskawicznych narzędzi
i odkryć w którym miejscu
sześćdziesiąt antycznych lat
krwawi ranami —

Bos leżał wyprostowany
pełny jak próbówka
z wyłogami sztucznego milczenia
po bokach —

był Bosem sprawiedliwym
umiał się modlić i karać

słuchał gdy do niego mówiono
całym ciałem ludzkiej wrażliwości —

a w Toronto płonęła wiosna
ludzie zbudzeni wychodzili z ocementowań
ze szklanych lufcików
z korytarzy zawieszonych nad sobą
pionowo i prostopadle
na chodnik — i dziwili się
że tak wolno kondukt idzie ulicą
i tyle powagi w połysku mundurów
w defilujących samochodach —
jakby odchodził ktoś większy od miasta
przed którym ojcowie magistratu
pochylali gołębnie głowy —

a to właśnie odchodził mój Bos
uczciwy kontrahent
dziesięcioletniego przymierza —

CHAGALL II

tej nocy widziałem Chagalla — dreptał
wokół kropli olejnego szafu
chcąc farbie zajrzeć do serca
które ułożone na płótnie
bije
życiem nowonarodzonego
jak dziecko
zamknięte
w szczelinie ramion —

GNEBI MNIE JESZCZE...

GNEBI MNIE JESZCZE ZMORA HITLERYZMU

bez względu na porę dnia czy nocy
krążą we mnie i kradną mój sen
dzień nie jest moim dniem — otoczony
boję się
że ich twarze mściwe mnie dosięgną —

uciekając — wybrałem trudne ścieżki
i ciernistą samotność, ale oni
są jak kruki na niebie i wyżyły
na ziemi
boją się — i dlatego mnie gonią —

może w jednym z Rzymów gotyckich
uda mi się cień własny ukryć
cudze ręce mnie skryją jak medalion
na szyi
w mieście pełnym Yankesów — i ludzi

i zamieszkam na spokojnej ulicy
ślepe ściany domu mnie wchłoną
aby tylko zapomnieć w Ameryce
i żyć — nie mówiąc nikomu
jak Mojżesz
z tablicami w dłoni —

PRZEWRAŻLIWIENI

od wojny która mnie zastrzeliła swoją okropnością
sentyment krwi stęzał jak uśmiech błazna
pod marmurem czarnego żalu —

w okropny kształt moich snów
wdzierają się kobiety bez włosów
nagie i torturowane
kobiety idące na spotkanie z ogniem
jak w ramiona mężów —

przy nich nie ma już nisko pędzących jaskółek
w podbiciu światła —
a inne ptaki
ściągnięte siłą z zenitu
z połamanymi skrzydłami
idą o kulach —

niesamowicie długa dłoń opatrności
leży oderwana
w chaosie pobojowiska —

na ambonach
wśród starych ksiąg
bocian gniazdo układa z żałosnych patyków
i wątpi —
ruchy jego szukają oparcia
w moich dłoniach —

czekamy na siebie cierpliwie
kto z nas pierwszy zacznie budować —

HISTORIA JAKICH WIELE

na Forum wciąż się pali
co się pali — wołają —
no, Rzym się pali
Wieczne Miasto

kobiety łamią ręce
Rzymianki unoszą fartuchy do oczu
gladiatorzy ruchem własnym
unoszą spracowane dzidy
pozwalając im wyschnąć —

a Rzym się pali —

ja — z innego drzewa
wypolerowany do ostatniej litości
zrywam kroplę rosy
i biegnę gasić —

tak bliski jest mi księżyc wiszący na Forum
i majestatyczny kształt głowy
Rzymianki
obłąkany wiolinem
Neron

więc niosę swoją kroplę
jakby była oceanem
i wierzę że ugaszę
ich Rzym —

WIEŻA BABEL

w Monachium, gdzie są jeszcze wojenne statuty
pękaci piwosze hitleryzmu
łechcą się w czułe miejsca
okrągłym piórkiem dolara —

księżyc ruchem bankiera
zmienia roztropne cyfry godzin
w planetarnym zegarze —
gdy anteny wbite w zenit
rozdrapują cierpliwy eter —

tuż za Monachium, jak przez miedzę
antena gryzie antenę
kruk krukowi zagląda w oko —
a choć każdy dzień
dybie na nas jutrem jak wilk
to jest jeszcze święta niedziela
z kłamrą mocnych słów
wokół serca —

chichot lichwiarzy
roznoszą stalowe naczynia drutów
aby rańniej było przy piwie —
tylko czarno ubrane jaskółki
w pielgrzymich piórach

spadają ze stalowych drutów
porażone słowem —

a my, nieprzygotowani
bierzemy spragniony łyk
zatruci
spadamy do odrutowanych popielnic

i tak już zostaniemy
poza murami monachijskich uczt
nie rozumiejąc co się dzieje
jak w tej przypowieści, gdzie Bóg
ludziom pomieszał języki —

S P I S T R E Ś C I

AH, WILDERNESS

<i>Ah, Wilderness</i>	11
<i>Tydzień</i>	15
<i>Leaves of Grass</i>	16

MILCZENIA

<i>Oliwka</i>	19
<i>Tylko uratowani mówić będą</i>	20
<i>Elegia</i>	21
<i>Mądrość</i>	22
<i>Łaska</i>	23
<i>Kolek</i>	24
<i>Mojżesz</i>	25

DEDYKACJE

<i>Nowy York</i>	29
<i>Czechowicz</i>	30
<i>Bos</i>	32
<i>Chagall II</i>	34

GNĘBI MNIE JESZCZE...

<i>Gnębi mnie jeszcze zmora hitleryzmu</i>	37
<i>Przewrażliwieni</i>	38
<i>Historia jakich wiele</i>	39
<i>Wieża Babel</i>	40

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 30 DECEMBRE 1959
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1959



"Kulturor"

17. II. 60